

## Ukochana

Kochane cząsteczki mojej duszy, mam pięć lat, w styczniu sześć, w kolejnym styczniu siedem, a w trzecim - osiem. Moje pytanie na dziś i wieczność: czym jesteś, duszo? Jak cię karmić? Jaki jest twój ulubiony kolor? A tatuś? Mamusia? Gdzie ich masz? Hej duszo, duszyczko kochana! Dokąd tak biegniesz? Zostań tu, ze mną. Potrzebuję cię - nierozproszoną, radosną. Bądź moim małym kwiatuszkiem. Mamusia to się zawsze uśmiechała. Wiedziała, jakie wy wszystkie, duszyczki, jesteście kapryśne. Załamane, zagubione, wykrzywione. Nóżki wam fruują, połamane. To bardzo dziwne - mamusia mówiła, że nie wiecie, co to rączki, wysmarowane czekoladą buzie, paluszki w kolorowe ciapki, czy włoski poskręcane jasnym światłem. Wiesz, duszyczko, ja bardzo lubię słońce. Nauczyło drzące ptaszki, jak śpiewać do siebie nawzajem. Czasem fajnie jest ponucić, dźwignąć główkę to w prawo, to w lewo. Układałam wtedy usteczka w taki zabawny dzióbek (leciutko, nie, tak jak wtedy, gdy próbuję zagwizdać), a to cieniutkie powietrze płynie. Widziałam, jak jego pyłki dzielnie walczą o miejsce w muzycznym szeregu. Ach, chciałabym znów poczuć to słodkie mrowienie. Hej, duszo, duszyczko! Obraziłaś się? Mamusia mówiła, że często tak uciekacie, odpływacie, wyrwacie się z tego spokojnego miejsca na mojej malutkiej piersi. Ale ja myślę, że ty jesteś wszędzie. W mojej pomalowanej wiatrem buzi, fioletowym siniaku, karmelowych ząbkach. Wiesz, ostatnio jest mi bardzo smutno. Odkąd odeszłaś, duszyczko, nawet tłusciutka babeczka smakuje okropnie. Całymi dniami tylko leżę, i leżę na tym przyciasnym już łóżeczku. Nawet nie wiem, kiedy tak, duszyczko, zmałało.

Pytam wciąż mamusi, gdzie się ukrywasz, dlaczego już mnie nie lubisz. Potrzebuję cię, kochana duszo. Wiesz, ostatnio ksiądz kazał codziennie odmawiać „Ojcze nasz”. Wyuczyłam się. I to na blachę. Byłam z siebie taka dumna. Wieczorem klęczałam, kolanko obok kolanka, ściśnięta modlitwą. Próbowałam się unosić, duszyczko, by cię odnaleźć. Przywołać. Zamykałam zasypiające w nocnej ciszy oczka. I tak co wieczór, przysięgam. Przysięgam na ciebie, moja najdroższa duszyczko.

Teraz lubię krzyczeć. Cisza nie pomogła, a serduszko przynajmniej krzywi się w tym piskliwym hałasie.

Ojcze nasz, musisz być zapracowany, skoro nawet nie szukasz mojej duszyczki. Albo nie chcesz tego robić. Ty chyba też się na mnie obraziłeś. A mamusia mówiła, żeby nie mlaskać w Wielki Piątek. Ciekawe ile metrów sobie liczy, że został tak nazwany. Może jak z mojego łóżeczka do ciebie, duszyczko? Chyba jesteś daleko.

Ostatnio nauczyłam się dotykać koniuszkiem języka różowiotkiego od mrozu noska. Chyba mogę już mówić o Wielkim Języku.

Odkąd odeszłaś, krążę jak smutny samolocik, zamknięta w czterech ścianach. Paluszkiem zdzieram resztki tapety. Mamusia mówiła, żeby tego nie robić, bo będę mieć kolorowe paznokcie. A ja skrobu-skrobu. Zlizuję soki z zapleśniałej ściany. Trochę się krzywię, ale już się przyzwyczaiłam do zmarszczek na mojej buzi. Siedzę przy fioletowym grymasie księżycy. Czekam tak na ciebie. Widzę, jak oczami obejmujesz wielkie rzeczy, na przykład, takie jak odległość Wielkiego Języka od wciąż różowego noska.

Parę dni temu słońeczko prażyło moją białą jak śnieżynka główkę. Poczułam twój zapach - paczka tytoniu, garść łez i fioletowe znaki na tłustym ciele. Nie mogłam ruszyć ani bucikiem na drżącej nóżce. Już nie z zimna. Powiedziałaś mi, duszyczko, że dojrzałaś. Że jesteś owocem tego świata. Modlitwą niespełnionego artysty okadzałaś gęsią skórę na moim kruchym przedramieniu. Podobno, tak mówiłaś, załatwiasz życiowe interesy, rozprawiasz z gwiazdami o głupich głowach ludzi i drapiesz się po żylastej tyśinie czarną rękawiczką. Wyśmiałaś żółte

loki, którymi wspólnie ożywiałyśmy kiedyś moje mętne oczka. One - szare jak jeziorko - głęboko wbijały się w pulchną twarzyczkę. Podniosłaś brwi, kiedy zobaczyłaś moje usteczka, związane w dzióbek. Wiesz, nadal nie umiem gwizdać, co sprawia mi niezwykle indywidualną przyjemność. Lubię ten moment oddechu. Wieczna w tej chwili harmonia myśli i bicia pełnego serduszka pozwala na ciszę. Szum samochodów, chrzęst kruchych zębów, jęk wyrzucanych śmieci - to wszystko zawiera się w jednym wdechu. Jestem wtedy wszystkim. Każdy liść należy do mnie, a własność umęczonych stóp świata to ja. Wiesz, gwizd zagłuszyłby ciszę - żywą, natarczywą, wyczerpującą, hałaśliwą.

Patrzysz i patrzysz na mnie tym zamglonym wzrokiem, duszyczko. Krzywisz się na dźwięk zakochanych warg. Dręczy cię stopniowy zachód słońca. Usta masz lepkie od sypkiego tytoniu, łyżki pozwalają mu płynąć - aż do gardła.

A ja złożyłam ręczki, nie jak do modlitwy, ale na zielonych od cienia drzew kolanach. Jest mi cię żal, kochana duszyczko. Ja lubię to smutne krążenie, ból piegawatych policzków. Modłę się i tęsknię. Czasami nawet płakałam. Mamusia nie wspominała, że, uciekając ode mnie, skazujesz się na wygnanie. A mogłyśmy lepić cukierkowe wieże, kąpać się w wodach zrozumienia, a ciała balsamować bliskością.

//////////

Kochane ciało, którego jestem właścicielką, słyszę twe modlitwy, częściej rozbrzmiewające skargi i purpurowe kaprysy. Płaczesz nad moją zgubą, kochasz mnie i przeklinasz jednym oddechem. A ja oczy mam pomarszczone, opuchnięte, rzeźkie w widmach mroku. Krążę po kawiarniach, ciemnym mieście. Przecinam niekiedy papierowe serca gruboskórnych przechodniów. Ronisz mgiełkowe łyżki, ledwo mieszcząc się w łóżeczku swego dzieciństwa. Teraz rysy masz ogniste, kobiece, dojrzałością tajemnicze. Skubiesz kolorową tapetę wokół paznokci. W twoich przysięgach czuję woń styczniowego pięciolatka, kochane ciało, którym ciągle jesteś mimo klątwy czasu. On tak płynie, nonszalancko rozrywając bukiet wiosennych pieśni, ballady zimowych modlitw, ogniki mroźnych nosków. Wiem, trochę przytyłam, zdzieciniałam, na twarzach mam suche bruzdy, ręce mną trzęsą. Odeszłam, bo mnie przywiązałeś, jak młodziutkie marzenie wołające o poranku. Ale ten krzyk już zamarł na zsiniałych wargach - jego melodia wypadła z muzycznego szeregu. Zapomniałeś, kochane ciało, czym jest brutalna wolność. Moje miejsce - malutka pierś - to grymas fioletowego księżycy, pył przecinający tekturowy most, jęk zarznanego zwierzęcia, uśmiech pięknego kwiatu, ciężar dziecięcego serca. To wszystko ja, i tobą też kieruję. Wiesz, często czuję się samotna, gdy rozprawiam z gwiazdami o ludzkiej głupocie i zbyt czerwonych paznokciach. Wy, marionetki, za bardzo przejmujecie się minutą ciszy, słodyczą na waszym języku, zachodem słońca - tak niezwykle romantycznym, malowniczym i wyniosłym - za bardzo, aż wstyd zalewa mi cierpkie gardło. A ja panuję nad wami, przenikam każdą intymną sekundę, oddech powieki, szmer błagalnej modlitwy. I tak krążę po tym świecie, zlepku głupoty, grymasów i uniesień, jak smutny samolocik. Płaczę, wzywam, kopię, krzyczę i uśmiechem unoszę zsiniałe wargi, bo ja też zgubiłam moją kochaną duszyczkę. W codziennym odbiciu siebie - w tobie, kochane ciało, deszczu i czekoladowych piegach - muszę sobie

uświadamiać, że to wszystko ja. Ten pisk, skowyt i zachwyty. Złączenie serc, spokój, zbłądzenie. Płynę, jak ślepiec, w pułapce mojego istnienia. Panując nad tobą, kochane ciało, wołam do kamiennej mamusi - gdzie jesteś?

Tak bardzo pragnę w sobie ukochania, kochana duszyczko. Samotność panowania nie pozwala mi zamknąć nieśmiertelnych powiek. A rzęsy - jak na złość - lepią się od sypkiego wciąż tytoniu.

*kika12215 (senior)*